

Pamięć nie jest prawdą

Z Bogdanem Frymorgenem, na stałe zamieszkałym w Londynie dziennikarzem i fotografem oraz autorem debiutanckiej prozy „Okruchy większej całości”, w której „ożywia kadry” z dzieciństwa naznaczonego chorobą dwubiegunową ojca - rozmawia Bożena U. Zaremba (*Floryda*).



Fot. Bogdan Frymorgen

ROZMOWA 1

Debiut literacki w wieku 58 lat to zjawisko rzadko spotykane, ale w sumie zawodowo parasz się słowem od wielu lat.

Gdy pierwszy raz ktoś nazwał moją książkę debiutem, to doznałem szoku. Ten tekst powstawał bardzo naturalnie, wcale nie z myślą o tym, że będzie kiedyś leżeć na półce w formie książki. Nazwano ją też biografią, ale ja nie opisuję swojego życia, raczej pewne skrawki pamięci, po której postanowiłem podróżować, kiedy pandemia pozamykała nas w domach. Wieczorami, kiedy cały dom kładł się już spać, [mój pies] Siena

rozkładał się obok mnie, a ja otwierałem komputer i sobie pisałem. Ale słowem rzeczywiście zarabiam od dawna - od wielu lat jestem korespondentem radia RMF FM, wcześniej pracowałem w BBC. Pracuję polskim słowem, co jest dosyć ważne dlatego, że po 35 latach mieszkania na Wyspach Brytyjskich, pracowania wśród Anglików i otaczania się głównie Anglikami, gdybym miał mówić coś publicznie, albo pisać, wybrałbym język angielski. Ale ta książka musiała powstać po polsku, dlatego, że to jest język mojej pamięci, mojego dzieciństwa i język, którym wszedłem w życie. Od zawsze staram się język polski pielęgnować, raz, że nim zarabiam na życie uprawiając dziennikarstwo, a dwa, że chciałem, żeby moje dzieci poprawnie nim władały. U mnie w domu zawsze mówiło się po polsku i moi synowie, już dorośli - jeden ma 30 drugi 27 lat - są dwujęzyczni, dwukulturowi. Przypuszczam, żebyś się nie zorientowała, że się tutaj urodzili, wychowali i wykształcili. Tak, więc jest to taki śmieszny debiut. Wydałem wcześniej albumy fotograficzne i w nich też pojawia się słowo - na przykład w albumie „Kazimierz”, tyle, że tekst jest tam w formie mikroskopijnej, bardzo ascetyczny, lakoniczny, ale i precyzyjny.

Powiedziałeś kiedyś, że ta książka powstała z potrzeby rozwiązywania pewnych węzłów, czy też uporządkowania i uproszczenia pewnych wydarzeń z Twojego życiorysu.

Podobnie jak to robię w mojej fotografii, która wkradła się do tej

książki podstępnie. Ta książka jest generalnie zbiorem kadrów z przeszłości, które zapamiętałem z fotograficzną precyzją i które ożywiam – ruchem, dźwiękiem, zapachem, emocjami, słowem. Z tym, że mimo tego, że wszystko jest w tej książce poukładane w miarę chronologicznie, nie pisałem jej chronologicznie. Poszczególne rozdziały powstały z potrzeby chwili i z potrzeby pewnych emocji. Kodem była tutaj chronologia pamięci.

Jedną z inspiracji było Twoje zainteresowanie Jungiem, twórcą psychologii analitycznej i psychoterapii. Czy pisanie było dla Ciebie formą katharsis?

To było naturalne przedłużenie terapii, którą przeszedłem kilka lat temu. Zawsze interesowałem się filozofią Junga i nim samym jako człowiekiem. A kiedy stuknęła mi 50-tka, a umówmy się, to jest to taki „osiowy” wiek, postanowiłem sobie zrobić prezent w postaci dziesięciu sesji z psychoanalizy. Poza tym od 30 lat słyszałem od mojej żony – w sytuacjach podbramkowych – że miałem ojca wariata, więc powinienem pójść na jakąś terapię. Broniłem się przed tym, bo uważałem, że ojca mam zupełnie „przerobionego”, ale dzieciaki mi wyfrunęły z gniazda, spłaciliśmy kredyt na dom i zakończyłem po 24 latach pracę w BBC. To były takie ważne cezury. W czasie tych sesji terapeutycznych okazało się bardzo szybko, że co prawda mojego ojca, który chorował psychicznie przez całe życie, a ja dorastałem w domu wypełnionym jego dwubiegunową chorobą,

mam kompletnie rozpracowanego, nie mam w swojej głowie ułożonej ani mojej babki, ani matki, a i z bratem też należałoby parę rzeczy rozwiązać. Pootwierały się wtedy pewne „pory” mojej duszy i mogłem sobie o tym porozmawiać. Podczas niektórych sesji wychodziły zupełnie niezwykle, odkrywcze treści. W takich momentach nie wierzysz, że to co słyszą twoje uszy wychodzi z twoich ust i następuje jakby przeprogramowanie podświadomości i świadomości. I muszę przyznać, że to było absolutnie zjawiskowe! Potem, przelewając te treści na papier doznawałem czasem prawie fizycznego wstrząsu, bo nagle okazywało się, że potrafiłem jakiś moment z przeszłości, który był głęboko zakopany w mojej podświadomości, wyzwolić. To są być może najmocniejsze momenty w tej książce. Nie powiem, które. Tak więc, jeżeli ta książka jest przedłużeniem terapii, to też sama w sobie jest terapią.



Fot. Bogdan Frymorgen

Te opowieści są bardzo uniwersalne, a książka spotyka się z bardzo szerokim, entuzjastycznym odbiorem. Jednym z najczęściej przewijających się spostrzeżeń to ogromna szczerść Twojego pisarstwa, brak wybielacza czy retuszu, cytując Marcina Zygadło: „Frymorgen fotografuje uważnie i nie używa filtrów. W jego ‘obiektywie’ rzeczy odarte są z pozorów, nazwane są po imieniu, tak jakby autor postanowił obnażyć się ostatecznie.” Czy rzeczywiście obnażenie było całkowite? Czy zostawiłeś może jednak

jakaś tajemnicę, która jest znana tylko Tobie, albo najbliższym?

Ależ tak! Zostały napisane rozdziały, które nie mogły się znaleźć w książce, musiałem zachować pewien umiar. Najtrudniejszy był rozdział o moim bracie – jest oczywiście bardzo szczery, ale napisany jest miłością. Mój brat doskonale czuje i wie, że to jest niełatwy temat, ale bez niego tej książki nie mogło być, bo mój brat, tak samo jak i matka, i ojciec wypełniają bardzo dużą przestrzeń w moim życiu. Ale tutaj nie ma obnażania czegokolwiek. Ja doznałem pewnego przeistoczenia, to znaczy uprościłem się w środku, tak jak kiedyś szukałem takiego ascetycznego, uproszczonego porządku w swoim kadrze fotograficznym, usuwając ze zdjęć zbędne rekwizyty. Zawsze mi zależało na tym, żeby ukazać pustkę albo ciszę, szczególnie w momentach, kiedy byłem otoczony hałasem i szumem. Tak było na przykład ze zdjęciami moich dzieci, od których moja tak zwana kariera fotograficzna się zaczęła. One na tych zdjęciach są samotnymi, wyciszonymi, małymi ludźmi. Kiedy żona ujrzała te zdjęcia po raz pierwszy w galerii w Krakowie, nie mogła uwierzyć, że to są nasi synowie. Ona pamiętała ten sam czas jako harmider, wrzask, szarpaninę, sprzeczki. Natomiast ja szukałem w tym ciszy, wchodziłem w tę szczelinę i robiłem zdjęcia. W mojej książce sam stałem się kadrem, to znaczy wzięłem trzon ze swojej fotografii i moje człowieczeństwo uprościłem i wyczyściłem. Dlatego język jest taki, jaki jest. Tam nie ma

zbędnych słów, słowa są precyzyjnie dobrane. Kiedy redagowałem ten tekst, starałem się usuwać zbędne rekwizyty, czasami dodawałem coś, ale głównie obcinałem, aż dochodziłem do momentu, kiedy usunięcie jednego słowa doprowadziłoby do zawalenia się tej konstrukcji, tak jak domku z kart. Wtedy wiedziałem, że to jest to.

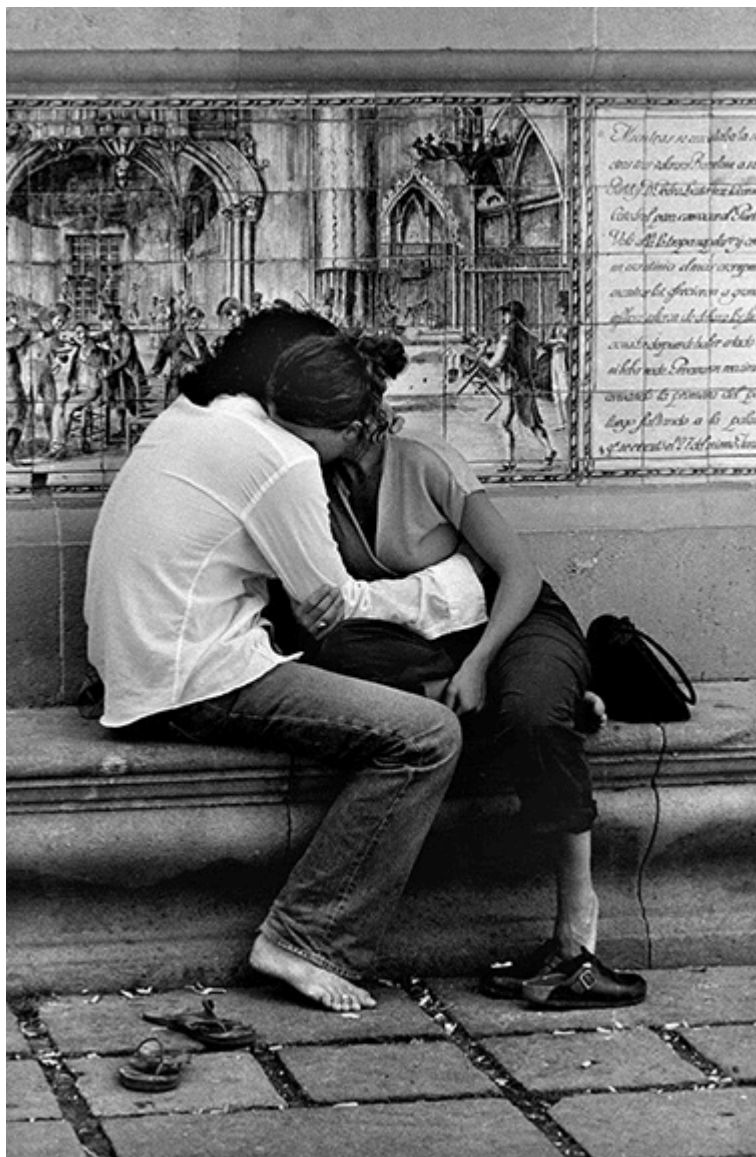
Ze swoim bratem i babką rozprawiasz się dość ostro...

To spontanicznie ze mnie wyszło. To był pewien egzorcyzm. Moją niechęć, bo nie chcę mocniejszych słów używać w stosunku do swojej babki, spakowałem w cierpką historię i koniec. Natomiast sprawa z moim bratem jest inna, bo rozumiem, dlaczego tak to wyglądało. On był ode mnie cztery i pół roku starszy i wiele więcej doświadczył choroby mojego ojca. Kiedy dołączyłem do „zespołu”, stałem się clownem, który rozśmieszał wszystkich, natomiast mój brat był dla mamy wsparciem, był jej powiernikiem. Jest to strasznie ciężki krzyż, który w sumie nosi do dziś. Mnie brakowało pewnych relacji zarówno z matką jak i z bratem, ale od pewnego momentu zorientowałem się, że daje mi to niezależność i że mogę zagospodarować swoje życie na takich zasadach, na jakich chcę.

O swoim ojcu i zmaganiach całej rodziny z jego chorobą dwubiegunową, piszesz jednocześnie bez ogródek, bez sentymentalizmu, ale z drugiej strony z ogromną

wrażliwością, miłością, szacunkiem i czułością.

Nie mogłem napisać tego inaczej, bo mimo tej nienaturalnej w sumie sytuacji, miałem bardzo ciepłe dzieciństwo, wypełnione miłością, słowem „kocham”, także fizycznym okazywaniem tej czułości. Na początku nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tragizmu tej sytuacji. Jak piszę w tej książce, to był dla mnie chleb z masłem, czasami z dżemem, czasami z musztardą. Ale w zależności od wieku, przyjmowałem to w bardzo naturalny sposób, wchodziłem w rytm tej choroby, rozumiałem ją tak, jak można było ją rozumieć będąc dzieckiem.



Fot. Bogdan Frymorgen



Fot. Bogdan Frymorgen

Jak postrzegasz ojca?

Ja miałem dwóch ojców. Jak przychodził wyż, tak zwana mania, ojciec stawał się wynalazcą i szalonym racjonalizatorem, był postacią wręcz magiczną, jak z powieści Marqueza. Natomiast była też ta druga, znacznie trudniejsza odsłona, kiedy ojciec wpadał w depresję, zagłębiał się w stan takiej katatonii, że byliśmy przekonani, że umiera. Ale ponieważ czuwała nad nami,

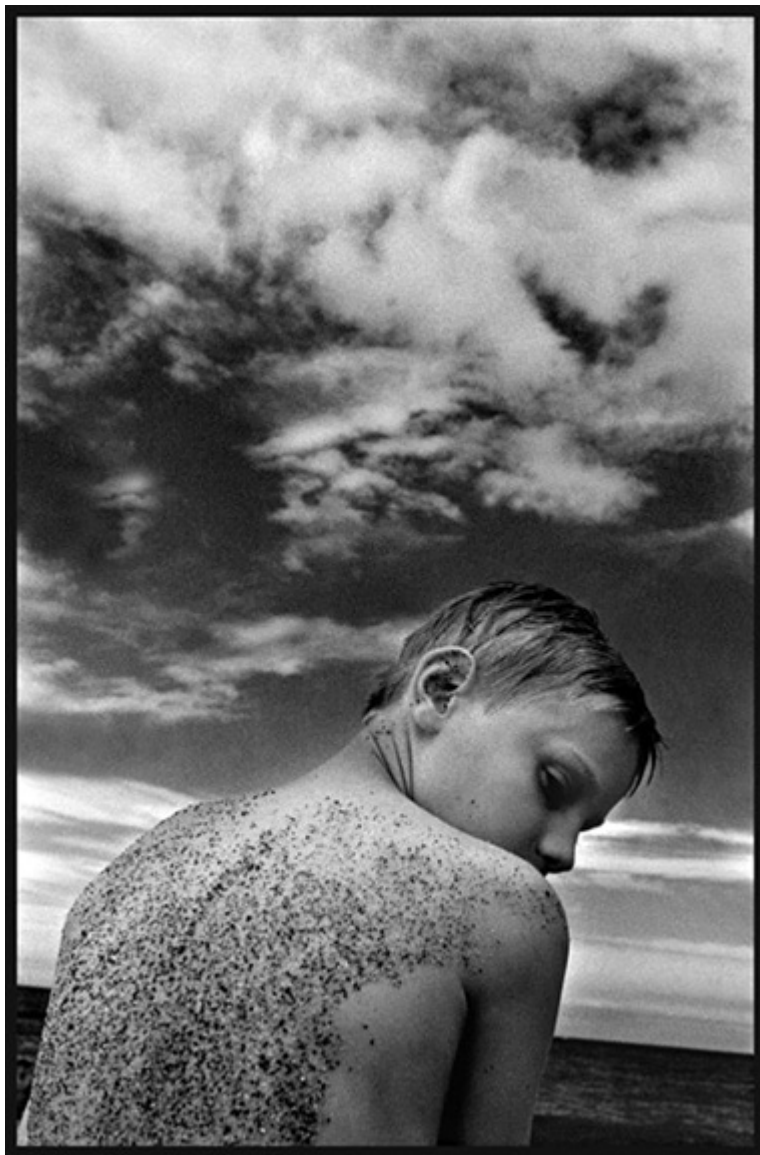
jak nazywam moją matkę, „Wielka Niedźwiedzica”, dostawałem w tym domu wszystko, co dziecko powinno dostać – ciepło, miłość, opiekę i bezpieczeństwo, w każdym razie ja zawsze czułem się bezpiecznie, bo rozumiałem ten język i wiedziałem, kiedy ta choroba przychodzi. Jak przy stole padało jakieś dziwne zdanie czy słowo, wystarczyła tylko wymiana spojrzeń i już wiedzieliśmy, że trzeba włączyć inny tryb. A ponieważ mieliśmy ten temat opanowany, bo przerabialiśmy go wielokrotnie, to już za którymś razem funkcjonowaliśmy jak szwajcarski zegarek. Każdy wiedział, co ma robić. Ja, na przykład, zawsze rozmawiałem z sanitariuszami. Prosiłem ich, żeby zostawiali kaftan bezpieczeństwa [w karetce], bo na jego widok ojciec dostawał szału. W miarę dorastania, oczywiście rosło moje pojęcie i zrozumienie tej choroby. Zmieniało się też jej nazewnictwo, najpierw to była depresja maniakalna, potem, afektywna dwubiegunowa, potem znowu się pojawiło określenie cyklofrenia. To się zmieniało, ale choroba była ta sama.

Okazuje się, że na tę chorobę cierpiało albo cierpi wiele znanych osób, jak Robert Schumann, Gustaw Mahler, Edward Munch, Isaak Newton, Graham Greene, czy Frank Sinatra i że często kończy się śmiercią samobójczą, jak w przypadku Ernesta Hemingwaya, Vincenta van Gogha albo Virginii Woolf. Czy możliwe, że brak wsparcia do tego doprowadzał?

Ludzie, o których wspomniałaś byli niezwykle utalentowani, wrażliwi. Ta choroba lubi dotykać tego typu ludzi. Trzeba sobie jednak przede wszystkim zdać sprawę, że ta choroba może mieć różną amplitudę. Można z nią funkcjonować w miarę w normalny sposób, nie być obciążonym lekami psychotropowymi przez całe życie. Ale to prawda, że ludzie cierpiący na tę chorobę, zwłaszcza pozostawieni sami sobie w większości mają myśli samobójcze, bo jest to potworna choroba. Mój ojciec miał wsparcie w postaci rodziny – matki, nas i bezpośredniego środowiska. Ale nie miał na przykład wsparcia terapeutycznego, czegoś, co teraz jest bardziej popularne i dostępne. Nie wszyscy chorujący na tę chorobę mają rodzinę albo te rodziny się często rozpadają. Dzieci się odwracają, nie wiedzą, jak się z taką osobą porozumiewać, bo jeżeli się tego języka nie poznało i nie pozwoliło, żeby stał się częścią twojego DNA, to może być trudno. Ja zawsze czułem wewnątrz, że jest to mój obowiązek – chociaż tego tak nie definiowałem – żeby być z ojcem i mu towarzyszyć. Ojciec zmarł w wieku, w którym teraz tę książkę opublikowałem i to jest przedziwnie wymowne.

W sposób naturalny pojawia się kwestia lęku odziedziczenia choroby dwubiegunowej. W książce piszesz, że mama wmawiała Tobie i Twojemu bratu, że tylko dziewczynkom może się to przydarzyć, co jest nieprawdą. Czy miałeś jakiś sposób, żeby „chronić” swoich synów?

Mama jest naprawdę kochaną osobą i nie wiem, czy zrobiła to z premedytacją, czy po prostu podpowiedział jej to jakiś pan profesor w Krakowie, dokąd jeździła z ojcem na konsultacje. Jeżeli słyszysz takie słowa przez całe życie to jesteś w stanie się zaprogramować. Nie powtarzałem takich rzeczy moim synom, ale jak byli już wystarczająco duzi, zacząłem z nimi rozmawiać o chorobie ojca w sposób bardzo otwarty. Ostrzegałem ich wtedy o wpływie narkotyków, bo chorobę psychiczną, do której ma się predyspozycje, można uaktywnić, nawet po zażyciu jednej dawki. Znam niestety ludzi, których to spotkało. Synowie chodzili wtedy do szkół średnich, a wiadomo co się w szkołach dzieje i tę rozmowę, jako tzw. odpowiedzialny rodzic musiałem przeprowadzić. I jeszcze jedna ważna rzecz – ja nie zachorowałem na tę chorobę i nigdy nie zachoruję (w tym wieku mogę mieć już taką pewność), ale jestem absolutnie świadom tego, że jestem w połowie stworzony z mojego ojca. Mam w sobie pewną nadwrażliwość i to na różnych poziomach, z tym, że wiem, na co tę nadwrażliwość skierować. Choroba ojca jest częścią mnie i nie jest to dla mnie absolutnie nic wstydliwego. W niej się wychowałem i dorastałem. Tą książką poniekąd żegnam mojego ojca.



Zdjęcie syna, wykorzystane między innymi do okładki powieści Pawła Huelle „Weiser Dawidek”, fot. Bogdan Frymorgen
Opisujesz niesamowite, przejmujące historie, a Twoje pisarstwo jest tak obrazowe, że byłby to fantastyczny materiał na scenariusz filmowy.

Nawet mój syn mi zaproponował, że zrobi film, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć. Ta książka musi się odłożyć. Jestem na etapie takiej wewnętrznej pokory i chcę sobie tę książkę i to, co się wokół niej teraz dzieje spokojnie przeżyć. Przeżywam jej

różne odsłony – takie rozmowy, jak ta z Tobą, uwagi ludzi, których często w ogóle nie znam, a którzy do mnie piszą i dzielą się swoim życiem, co jest fantastyczne. Zostałem też ambasadorem III Kongresu Zdrowia Psychicznego.

No właśnie, jak do tego doszło?

To Kongres zwrócił się do mnie z taką prośbą. Pomyślałem sobie, dlaczego nie. Oczywiście sprawdziłem, czym Kongres się zajmuje, bo nigdy nie wchodzę w takie relacje w ciemno, ale to są naprawdę fantastyczni ludzie. Pracują przez cały rok, a raz na dwa lata [*Kongres odbył się w tym roku 7 czerwca – przyp. buz*] organizują spotkanie ludzi z różnych środowisk i rozmawiają o tym, w jaki sposób można wesprzeć ludzi chorujących psychicznie. To jest taka oddolna inicjatywa, której celem jest między innymi stworzenie środowiskowych centrów wsparcia dla osób chorych psychicznie, zwłaszcza na wsi czy w małych miasteczkach. Już są 33 takie centra, a oni chcą mieć 300. Ujęło mnie też to, że ludzie, którzy pracują przy tym Kongresie to są osoby, które otarły się o chorobę, albo same chorują. Moja książka stała się paszportem do tego, żeby mówić o kryzysach psychicznych z pewną dozą odpowiedzialności. Do moich obowiązków należy nagłaśnianie tej szczytnej inicjatywy, co sprawia mi dużą przyjemność i zaszczyt.

W jaki sposób Twoja opowieść może pomóc innym

ludziom?

O chorobie psychicznej mówię wprost, nie czaruję, używam prostego języka. A o niej należy mówić, bo im częściej i szczerzej, bez uprzedzeń o niej mówimy, tym ludziom będzie lżej, także ludziom, którzy są w bezpośredniej bliskości ludzi chorych. Oczywiście ja piszę, jak to wyglądało w naszej rodzinie, ale taka choroba potrafi przewrócić życie do góry nogami. Natomiast odpowiednie wsparcie terapeutyczne, środowiskowe, również farmakologiczne (bo to też jest konieczne) umożliwiają człowiekowi w miarę normalnie przejść przez życie, mieć rodzinę, utrzymać pracę. Co więcej, pomagać innym, tak jak ludzie, zrzeszeni wokół Kongresu. Nie można tych ludzi spisać na straty, nie można ich wkładać do głębokiej piwnicy. Oni mają prawo funkcjonować normalnie, na ile ta nienormalność im na to pozwala.

**Jeszcze ze spraw nazwijmy to warsztatowych - wyraźnie zajmujesz negatywne stanowisko w stosunku do Kościoła, ale z drugiej strony odniesienia religijne są w tej książce wszechobecne, a symbole religijne przyjmują konkretne kształty: „rycerzyki Chrystusa” nazwane też „barankami bożymi” które okazały się „baranami”, mamę nazwałeś „Matką Boską spod Beskidzia”, lekarzy „aniołami”.
Dlaczego takie porównania?**

Jak się rodzisz na Beskidziu w rodzinie na wskroś katolickiej, to tak tkwisz w tej kulturze, że ona w rezultacie staje się częścią ciebie. Takie skojarzenia więc same się nasuwają. Nie należy tego języka wyrugować ze swojego życia. Duchowo oddaliłem się od instytucji Kościoła, od pojęcia boga i boskości i wracając do kościoła w mojej wsi Komorowice, nie czuję absolutnie żadnej duchowej więzi. Natomiast jak poczuje zapach kadzidła i posłucham organów wszystko zaczyna wibrować. Z tym, że to nie ma nic wspólnego np. z tajemnicą transfiguracji, czy świętymi sakramentami. Przeszedłem przez chrzest i bierzmowanie, natomiast ten związek w pewnym momencie, z takich czy innych względów się urwał, a ikonografia pozostała.

Nie był to absolutnie zarzut hipokryzji w stosunku do Ciebie. Dla mnie te odnośniki pokazują alternatywną interpretację pewnych konceptów czy symboli, których znaczenie zostało nam kiedyś narzucone i wpojone. Pokazujesz ich żywy i współczesny wymiar.

Nie wiem, czy poszedłbym aż tak daleko. Ja po prostu opisuję mój związek z Kościołem, od tych pierwszych kontaktów chodzenia do kościoła, kiedy fizycznie mdlałem, po zerwanie z nim w momencie, kiedy zorientowałem się, że nie jest w stanie zapewnić mi pewnej karmy, której, jako dorastający chłopak potrzebowałem. Śmiem twierdzić, że w tej książce jest dużo duchowości, takiego szerszego spojrzenia właśnie na duchowe

potrzeby młodego człowieka, które można zaspokoić poza tą instytucją. A przy tym przejść przez życie przestrzegając pewnego kanonu zasad etycznych i moralnych i przekazując je swoim dzieciom. Tak też było w mojej sytuacji. Natomiast na pewno nie chciałem się wymądrzać. To jest moja subiektywna pamięć, a pamięć nie jest prawdą.

Katarzyna Szczerbowska w rozmowie z Tobą zwróciła uwagę na muzyczne walory Twojego pisarstwa i na to, że świetnie czyta się tę książkę na głos. Niedawno ogłosiłeś, że na przełomie przyszłego roku będziesz ją czytał w radiu RMF FM.

Ta książka jest muzyczna, bo ja mam w sobie dużo muzyki. Znamy się od dawna, to wiesz, że zawsze interesowałem się muzyką i żyję nią na co dzień, od rana do wieczora. W związku z tym rytm tej książki jest muzyczny. Tam są wyraźnie takty, tam jest *piano* i *forte*, czasami jest orkiestra, czasami samotny instrument.

Czy myślisz o jej przetłumaczeniu?

Znajomy tłumacz zaproponował przymierzyć się do tego. Powiedziałem, przetłumacz parę rozdziałów i zobaczymy. Sam nigdy w życiu tej książki nie przetłumaczę, bo ona się zrodziła w języku polskim i chcę ją zamknąć w mojej polskości. Skoro o tym

mówię – tutaj mieszkam, tutaj mam rodzinę i tutaj pracuję, kocham Londyn, ale wszystko co robię kreatywnego, robię w Polsce i dla Polski, a tutaj jestem pod tym względem osobą zupełnie nieznaną. Często bywam w Polsce, jestem zaangażowany w polskie życie na wielu poziomach i czuję się pełnoprawnym i pełnokrwistym obywatelem, który tylko przypadkiem mieszka w Londynie. Pozwalam sobie na taką iluzję, że funkcjonuję w dwóch przestrzeniach.

Fotografie pochodzą z książki „Okruchy większej całości”.

W drugiej rozmowie, która ukazała się w piątek, 2 lipca 2021 r. Bogdan Frymorgen opowie o fotografii, muzyce i innych fascynacjach. Rozmowy prowadzi Bożena U. Zaremba.

*



**„Okruchy większej całości” (2021) są dostępne (z
możliwością wysyłki zagranicznej) na stronie wydawnictwa
Austeria:**

<https://austeria.pl/produkt/okruchy-wiekszej-calosci/>.

**Zapraszamy do komentowania książki i śledzenia poczyznań
autora na Facebooku, na stronie „Frymopisanie”.**

Rozmowa 2:

Wychylić się ponad parapet

Wersja angielska:

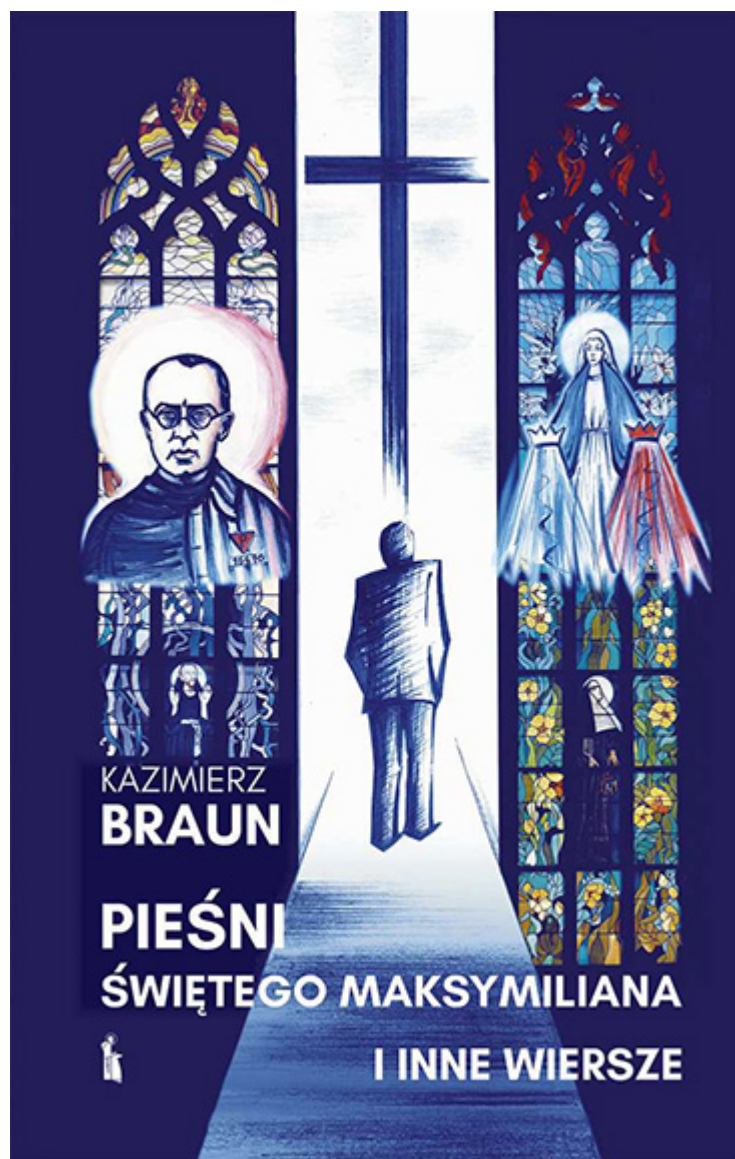
„Memory Is Not the Truth”

Pieśni Świętego Maksymiliana

Kazimierz Braun (*Buffalo*)

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa - franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu

wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.



*

RZYM

Rzym - Wieczne miasto - Stolica Piotrowa.

Tu młody Rajmund przyjechał studiować.

*

Skoro Matuchna tak chce - to przeznaczę

Każdą sekundę modlitewnej pracy.

*

Dwa doktoraty - z filozofii - zdany.

Toż z teologii - mnich wiedzy zachłanny.

*

Do tego studia, aby księdzem zostać.

Gruźlica dławi. Nie poddam się, sprostam.

*

Horyzont pęka, głębia nie przestrasza,

Kosmos porywa – tam Matuchna nasza.

*

Immacolata! Dla Niepokalanej

Zastęp Rycerzy do apelu stanie.

*

Podajmy walnę o grzeszników dusze.

Do uświęcenia wszystkich dążyć muszę.

*

Różaniec bronią, a zbroją medalik

Cudowny – lepszy od najtrwadszej stali.

*

We wszystkich sprawach, tam się uciekamy.

Pod jej opiekę. Ją za Matkę mamy.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.

*

NIEPOKALANÓW

Niepokalanów – wieś, gród, metropolis,

Rośnie, pięknieje dzieło Marii woli.

*

Gdy patrzeć z nieba – strzechy, laski, piaski,

Gdy dookoła – to fabryka prasy.

*

Mamy kaplicę, szpital, jest i straż pożarna,

Zecernia i drukarnia, młynów Słowa żarna.

*

Gdy wejrzeć w serca drukarzy - oddanie

Marii, pracy, modlitwie - zwykli franciszkanie.

*

Gdy ich wezwałaś - wnet zastępy stały.

Gdy ich roześlesz - pobiją świat cały.

*

Wyrzutnia rakiet modlitwy do nieba -

Ludziom tak słowa, jak chleba potrzeba.

*

Bijemy prasę, książki, katechizmy.

Dziś radio, jutro będzie telewizja.

*

Kolportaż bucha jak wielkie ognisko -

Wagony, ciężarówki, już jutro lotnisko.

*

Niepokalana pracę błogosławi.

Wskazuje drogę jak mnich ma się zbawić.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, proszę, w swych ramionach.



Pomnik św. Maksymiliana Kolbe w Niepokalanowie, fot. wikimedia commons

*

NAGASAKI

Uratuj, Matko, przed Ciemnego siecią,
daj siłę, Matko, rycerzom, swym dzieciom.

*

Nad górą Hiko jasna wstaje zorza.

Jaśniej jaśniej od zórz Matka Boża.

*

Znowu, jak kiedyś, trzyma dwie korony

- Co niesiesz Matko? - pyta mnich zdumiony.

*

- Korona biała - czystość. A czerwona

Męczeństwo znaczy. Wyboru dokonaj.

*

- Już dokonałem... - Tak. Wybrałeś obie,

już ich pragnąłeś. Białą nosisz godnie.

*

Czerwoną zyskasz, gdy ja wskażę porę.

A potem niebo. Godzinę wybiorę.

*

- O, chcę ich obu. Kieruj Matko Boża

twym sługą w Polsce, w Japonii, na morzach.

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, stale w swych ramionach.

*

AUSCHWITZ

Trzask drzwi wagonu. Jak startera wystrzał.

Ostatni wyścig. I meta już bliska.

*

Więc to tu, Matko? Tutaj ta czerwona

korona czeka? Matczyne ramiona?

*

Szłaś ze mną. Napis: „Arbeit macht frei”, a wyżej
niebo majowe. Wszyscy nieśli krzyże.

*

Kij. Bicz. Cios. Kopniak oprawcy - biednego
brata. Co czyni - nie wie. Zdrowaś też za niego.

*

Inny brat jęczy. Rozpacz w jego głosie.
Daj mi krzyż, bracie, za ciebie poniosę.

*

Ten obóz śmierci - komnata królewska.
Prycza, smród, zaduch. To Ty tutaj mieszkasz?

*

Korona biała, korona czerwona.

Trzymaj mnie, Matko, mocno w swych w ramionach.

Zobacz też:

Święty Maksymilian Kolbe - towarzysz teatralnej i poetyckiej podróży

Święty Maksymilian

Kolbe - towarzysz teatralnej i poetyckiej podróży

Z prof. Kazimierzem Braunem rozmawia - ks. prof. dr hab. Piotr Tomasiak

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa - franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.



Ojciec Maksymilina Kolbe, fot. Dennis Jarvis, Halifax, Kanada, wikimedia commons

Benedykt XVI w 2010 roku, w trakcie audiencji generalnej powiedział tak: „Każdy z nas ma w swoim życiu drogie osoby, które są nam szczególnie bliskie; niektóre z nich są już w domu Ojca, inne idą jeszcze z nami drogą życia: to nasi rodzice, krewni, wychowawcy, osoby, którym wyświadczyliśmy dobro, lub które nam wyświadczyły dobro; wiemy, że na te osoby możemy liczyć. Jednakże ważne jest również, byśmy mieli „towarzyszy podróży” na drodze naszego życia chrześcijańskiego. Mam tu na myśli kierownika duchowego, spowiednika, osoby, z którymi można dzielić doświadczenie wiary, ale myślę także o

Dziewicy Maryi i o świętych. Każdy powinien wybrać sobie ulubionego świętego, który będzie mu szczególnie bliski, w modlitwie i wstawiennictwie, a także, którego będzie naśladował”. Czy Pańskim towarzyszem podróży jest święty Maksymilian Maria Kolbe, skoro napisał Pan o nim sztukę teatralną, a ten tom zatytułował na jego cześć? Na podstawie jakich źródeł zdobywał Pan wiedzę na temat tego Świętego?

To jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia, a także długa, wyboista droga. Oczywiście, od dzieciństwa wiedziałem, że był taki zakonnik, który w Auschwitz poszedł na śmierć zamiast innego więźnia. Wiedziałem, że w 1971 r. został on beatyfikowany. I tak się złożyło, że na jesieni 1981 roku byłem w Japonii. Korzystając z Nagrody Fundacji Japońskiej mogłem ułożyć sobie plan podróży po tym kraju. Wytyczając go poprosiłem, abym mógł znaleźć się Nagasaki i odwiedzić klasztor, który wybudował tam o. Maksymilian Kolbe. Byłem tam. Chodziłem po korytarzach i ścieżkach wydeptanych przez niego. Poznałem brata Sergiusza, jednego z uczniów i współpracowników ówczesnego gwardiana, który hojnie obdarzył mnie swym czasem i opowiadaniem, oprowadził mnie po japońskim Niepokalanowie – Mugenzai no Sono: kościół, klasztor, szkoła, kapliczka Niepokalanej na górze Hiko. Brat Sergiusz dał mi też wiele materiałów. Zacząłem się nosić z myślą pisania o ojcu Maksymilianie. Zaraz po moim powrocie do kraju

generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Chwila dziejowa narzuciła inne tematy, prace, działania.

Ale tak się znów złożyło, że w końcu września 1982 roku byłem z moim Teatrem Współczesnym w Irlandii, gdzie graliśmy „Annę Livię” według Jamesa Joyce’a, na festiwalu z okazji stulecia jego urodzin. I tam, w Irlandzkim Teatrze Narodowym, The Abbey Theatre, ku mojemu zdziwieniu, była na afiszu sztuka pod tytułem „Kolbe”. Poszedłem na nią. Autorem był ksiądz-poeta Desmond Forristal. Dramat był epicką opowieścią o męczeństwie i śmierci o. Maksymiliana Kolbe w piekle Auschwitz. Teatr zbudował w oparciu o ten utwór wielką inscenizację z bardzo liczną obsadą. Widowisko o polskim świętym w Dublinie ogromnie mnie wzruszyło, choć sama sztuka nie bardzo przekonała. Zamówiłem jednak jej tłumaczenie u Krzysztofa Romanowskiego, filmowca pracującego w Dublinie.

Kanonizacja Maksymiliana Kolbe, dokonana przez Papieża Jana Pawła II 10 października 1982 roku była mocnym strumieniem światła w ciemnościach stanu wojennego. Takie wyraziste przypomnienie niezłomnego Polaka, było ważnym posłaniem dla wszystkich rodaków (stan wojenny był już formalnie zniesiony, ale trwał totalitarny, represyjny system). Dla mnie był to kolejny impuls, w pewien sposób kierujący w stronę Maksymiliana, już wtedy świętego. Pojechałem do Niepokalanowa prosić go o opiekę w pisaniu o nim. Opublikowałem na jego temat dwa

artykuły. Stały się one rozdziałami w książce „Nadmiar teatru” (Czytelnik, 1984). Otrzymałem od Romanowskiego tłumaczenie tej irlandzkiej sztuki, „Kolbe”. Jej horyzont przy uważnej lekturze wydał mi się jakoś zbyt wąski wobec rozległości tych horyzontów, które święty obejmował i otwierał. Nie zdecydowałem się na realizację. A przy tym sam uświadomiłem sobie, że jeszcze za mało wiem o świętym Maksymilianie. Sprawa została odłożona.

Potem porwał mnie wir wydarzeń całkowicie odmieniających moje życie i pracę, a także życie mojej rodziny: wyrzucenie z teatru, jako kara reżimu komunistycznego, za działalność opozycyjną (1985); propozycja pracy w USA przysłana przez solidaryzujących się ze mną amerykańskich kolegów; kolejne odmowy wydania mi paszportu i otrzymanie go po kolejnych odwołaniach; wyjazd do USA (1985); praca na amerykańskich uniwersytetach i w amerykańskich teatrach; przyjazd żony Zofii i dwójki dzieci, Grzegorza i Justyny, także po odmowie paszportów i kolejnych odwołaniach (nasza najstarsza, Monika, miała już swoje życie w Polsce). Potem – próby powrotu do kraju. Nieudane (to już zupełnie inna historia). Osiadłem w Ameryce.

Właściwie nieco przypadkowa wymiana listów elektronicznych z ojcem doktorem Piotrem Cuberem na temat św. Maksymiliana nakazała mi do niego wrócić. Z o. Piotrem znaliśmy się od czasu jego pobytu i pracy we franciszkańskiej rozgłośni radiowej

„Godzina Różańcowa” w Buffalo w 2001 r. Pozostaliśmy w kontakcie. Przesyłaliśmy sobie życzenia świąteczne. W 2009 roku życzliwie i miło zachęcił mnie do podjęcia próby napisania dramatu o świętym, aby przypomnieć go dwa lata później, na 70. rocznicę jego śmierci. W wyniku zachęty o. Piotra i dzięki zaproszeniu Krakowskiej Prowincji Ojców Franciszkanów Konwentualnych, znalazłem się na cały miesiąc w klasztorze w Harmężach pod Oświęcimiem. Mogłem wejść w rytm franciszkańskiego życia i modlitwy, odbyć wiele ciekawych, inspirujących rozmów i odwiedzić wiele miejsc, w których święty zostawił swoje ślady – przede wszystkim w obozie Auschwitz, a także w Krakowie, Kalwarii Pałacowskiej, Sanoku i, oczywiście, w Niepokalanowie. Mogłem medytować tam gdzie czynił to święty.

Otrzymałem wiele informacji, wiele książek. To wszystko pozwoliło mi podjąć ponownie próbę stworzenia dramatu o św. Maksymilianie. Powstał „Maximilianus”, a potem jeszcze monodram „Cela ojca Maksymiliana” i dramat „Mój syn, Maksymilian”. Wszystkie zostały wydane przez Wydawnictwo Franciszkańskie Bratni Zew w 2010 roku. Z kolei w 2011 r. wyreżyserowałem w tarnowskim Teatrze im. L. Solskiego „Celę ojca Maksymiliana”. Sztuka ta została także wystawiona po angielsku w amerykańskim Buffalo. We wszystkich tych sztukach epilogiem jest „Męka świętego Maksymiliana”, która może też funkcjonować samodzielnie. Była ona odczytywana przez trzech lektorów – tak jak czyta się Mękę Jezusa Chrystusa w Wielkim

Tygodniu - w kościołach na terenie Polski, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Pragnąłem nadal uczyć się od świętego, być jakoś blisko niego. Z tego pragnienia powstały otwierające ten tom - „Pieśni świętego Maksymiliana”. I tak jak ksiądz mówi - stał się on moim „towarzyszem podróży” w ostatnich latach. Jego „Regulamin życia” jest zarówno drogowskazem, jak też przypomnieniem, jak wiele mi brakuje do sprostanania jego wymaganiom.



Ojciec Maksymilian Kolbe, 1936 r., fot. wikimedia commons

W części tomu, zatytułowanej „Naśladowania”, umieścić Pan kilka wierszy o różnych świętych. Jakie było kryterium doboru?

To były refleksje po lekturach pism różnych świętych. Każda z tych lektur zawierała ogromne bogactwo myśli, wskazań, porad duchowych. Staralem się znaleźć krótką formę poetycką, niejako podsumowującą, która by te lektury, a także historie życia tych świętych, otwierała dla mnie samego i dla innych – dla czytelników.

Wśród świętych, do których zbliżamy się przez Pańskie wiersze, jest także Augustyn. W szczególnym kontekście - teatru. Jest Pan reżyserem, teatrologiem, a pisze Pan o Nim: „Od chwili nawrócenia / odwróciłeś się od teatru / zerwałeś ze zgubnym nałogiem teatromanii”. Dlaczego tak? Pytam o to, bo dziś wielu ludzi w Polsce unika teatru, zwłaszcza boją się tam prowadzić swoje dzieci ze względu na obsceniczność i bezbożność spektakli. Jaki zatem powinien być teatr?

To pytanie – „jaki powinien być teatr?” – zadawałem sobie od czasu, kiedy zacząłem ku niemu zmierzać. Towarzyszyło mi przez wszystkie lata mojej praktycznej pracy w teatrze. „Teatr ile wiemy, jest atrium spraw niebieskich” – te słowa Cypriana Norwida przeczytałem i zapamiętałem, jeszcze przed podjęciem

studiów reżyserii. Była to wizja teatru, który poprzez to, co na scenie widać, co ze sceny słyhać, poprzez całą materię i maszynę widowiska – daje wgląd w niebo. Szczególny impuls nakierowujący do takiego pojmowania i uprawiania teatru otrzymałem już jako student reżyserii od – wtedy – księdza biskupa, profesora KUL-u, Karola Wojtyły i mentora grupy „Święta Lipka” do której należałem. Gdy znalazłem się zimą 1960 roku w Krakowie, upoważniło mnie to do prośby o rozmowę z „Wujem”, jak go nazywaliśmy. Miałem z nim dwa bardzo ważne dla mnie wieczorne, przeciągające się w noc, spotkania. Na koniec pierwszego polecił mi napisać referat o moralnych problemach, z jakimi konfrontuje się reżyser w pracy teatralnej. W czasie drugiego omówił ze mną, po profesorsku, złożony mu referat. Potem odłożył na bok maszynopis i zadał mi kilka pytań, zaznaczając, że nie oczekuje ode mnie w tej chwili odpowiedzi, a raczej, prosi, abym te jego pytania przemyślał. A były to pytania podstawowe dla człowieka teatru: „Jak będziesz łączył wiarę ze sztuką w swej teatralnej robocie? Jak połączysz dążenie do najwyższych wartości estetycznych i znajdowanie dla nich wyrazu w przedstawieniach z dążeniem do przekazywania najważniejszych wartości etycznych, tych, które wynikają z twojej wiary? Jak będziesz łączył w twórczości teatralnej cielesność i seksualność aktorów oraz granych przez nich postaci, z ich duchowością? Jak będziesz prowadził widzów ku krainie ducha przez materialność i zmysłowość teatru? I, rozważ, przygotuj się już teraz – co wybierzesz w chwili próby: karierę

czy sumienie? Świat czy Boga?”.

Biskup Wojtyła kierował mnie w ten sposób w rejony teatru całkowicie, wręcz radykalnie odmienne od tych, ku którym prowadziły mnie studia reżyserii; o których uczyłem się z książek i po których poruszałem się uczestnicząc w życiu teatralnym.

Gdy rozważałem jego nauczanie, zaczęło mi się ono stopniowo rymować z tymi rozdziałami historii, w których teatr starał się ewangelizować i prostą drogą prowadzić ludzi ku niebu – jak europejski teatr średniowieczny, hiszpański teatr renesansowy, teatr wpisany w dramaty Paula Claudela, misteryjne widowiska Jacques’a Copeau, a wreszcie Teatr Rapsodyczny Mieczysława Kotlarczyka, w którym Karol Wojtyła był aktorem i z którego wyruszył ku kapłaństwu.

Ta nocna rozmowa z nim ukazała mi teatr w nowym świetle. Zaostrzyła kontrast pomiędzy tym, co wtedy – a i wielokrotnie później, całymi latami – sam w teatrze robiłem, a tym teatrem, ku któremu warto było, i trzeba było, zmierzać. I to jest moja odpowiedź na pytanie Księdza. Teatr taki, jak go widział Norwid, taki jaki go uprawiał Wojtyła, winien ludzi prowadzić do Boga – zarówno tych, którzy teatr na co dzień tworzą, na więc ludzi teatru, jak i tych, do których on się zwraca, a więc widzów.



Święci męczennicy franciszkańscy - malowidło na ołtarzu polowym, znajdującym się obok bazyliki w Niepokalanowie., fot. wikimedia commons

Pytanie Księdza kieruje mnie ku refleksji na temat całej mojej, już tak długiej, drogi poprzez teatr. Od fascynacji do uświadomienia sobie jego wspaniałych, dobrych potencji, ale także do rozpoznania możliwości szerzenia przez teatr zła, czego mamy tyle dowodów dzisiaj. Wspomniał Ksiądz o tym: wulgarny, obsceniczny język, po prostu nieprzyzwoite obrazy i działania, nawet świętokradztwo. W ocenianiu teatru z moralnego punktu widzenia, w uświadomieniu sobie jak teatr może budować ludzką duchowość, a także ją degradować, dopomógł mi bardzo właśnie święty Augustyn. W swoich „Wyznaniach” opowiada on o swojej fascynacji teatrem i wyzwoleniu się z niej. Pisałem:

Bardzo mnie pociągały

widowiska teatralne

wyznaje święty Augustyn

Uczestniczyłem w grzesznych

radościach spektakli

oskarża się gorzko

Podziwiałem występnych

kochanków na scenie

bije się w piersi

Fikcja sceny dzieliła mnie

od prawdy Boga

wspomina gorzko.

Trzeba przypomnieć, że w jego czasie (II połowa IV oraz

pierwsze lata wieku V) teatr rzymski był już w stanie upadku, nastawiony właściwie wyłącznie na rozrywkę, wyuzdany, wulgarny, posługiwał się okrucieństwem. Ileż analogii z ogromnymi obszarami teatru współczesnego. Więc Augustyn odwrócił się od teatru. Ja nigdy nie chciałem teatru opuścić. Latami, mozolnie uczyłem się jak ukierunkowywać go ku dobru, dawać teatrem świadectwo swojej, acz tak słabej wiary, pomagać innym drogę wiary odnajdywać na bezdrożach współczesnej kultury. Codziennie powtarzam przy tym modlitwę Apostołów (Łk 17, 4): „Panie, przymnóż nam wiary”. W zakończeniu tego wiersza napisałem:

Święty Augustynie

bywałeś w teatrze gościem

mogłeś przestać teatr nawiedzać jak dom grzesznych schadzek

ja byłem teatru domownikiem

gdzież się wyprowadzić?

A przy tym teatr to stary dom rodzinny

jak w domu Ojca jest w nim mieszkań wiele
nie trzeba go opuszczać niszczyć palić burzyć
może być świętym hospicjum choć bywał motelem
może dać dach nad głową tak wielu bezdomnym.

Święty Augustynie

za twoją przyczyną zrozumiałem zbyt późno

wierzę nie za późno

że nadal w nim mieszkając

muszę mój dom posprzątać

ubielić czysto ubrać tatarakiem

jak na Zielone Świątki

a samemu zdjąć czarną maskę Arlekina

jego kostium pstrokaty zamienić na białą

szatę godową.

Dostojewski napisał: „Piękno zbawi świat”. Piękno jako droga dojścia do Boga. Tę kwestię podkreśla się dość mocno ostatnio w dokumentach katechetycznych Kościoła. Piękno, sztuka, poezja. Co by Pan poradził katechetom jako artysta?

Wracanie do źródeł. Nakierowywanie uwagi uczących się na tradycję. A gdyby tematyka kursu, czy zajęć obejmowała sztukę, to sugerowałbym podkreślenie opiekuńczej roli Kościoła nad sztuką – tu warto by przypomnieć architekturę i wszystkie sztuki piękne, z ogromną rolą witrażu w ewangelizacji; dalej: muzykę sakralną, literaturę religijną, a wreszcie i teatr, który po czterech wiekach nieobecności w kulturze Europy (wieki V-IX) odrodził się właśnie w Kościele. Najpierw jako widowisko wielkanocne, potem pasyjne. A pierwsze „Jasełka” przygotował nie kto inny tylko święty Franciszek w 1223 roku. Przymierze religii i sztuki, wiary i teatru, w porywający sposób manifestowało się w widowiskach „Księcia Niezłomnego”, granych w plenerze dla tysięcy przez Juliusza Osterwę. Umacniało prace „teatru kościelnego” tworzonego poza cenzurą w czasach stanu wojennego.

Kilkanaście lat temu pisałem podręczniki do religii dla

gimnazjum. Umieściłem w nich kilka Pańskich wierszy, m. in. „Szymona Cyrenejczyka” oraz „Rozważania w Nazarecie”, „Według Ignacego z Loyoli”. Były czytane przez młodych ludzi, skłaniały do refleksji. Myślę, że wtajemniczały gimnazjalistów w to, czym jest historia zbawienia, Kościół. Który z innych wierszy proponowałby Pan młodzieży dzisiaj?

Młodym, ale już dorastającym, podsunąłbym mój nowy cykl, „Zamyślenia”, które niejako towarzyszą modlitwie brewiarzowej. Mogłyby może zachęcić do podjęcia takiej codziennej praktyki.

Wiele jeszcze tematów nasuwa ten tom Pana wierszy. Pozostawmy je czytelnikom. Dziękuję bardzo za rozmowę.

I ja dziękuję z całego serca. Bóg zapłać!

*

*Wywiad ukazał się na stronie Polonia Christiana:
<https://pch24.pl/>*

**Muzeum w Niepokalanowie, poświęcone o.
Maksymilianowi, otwarte w 1998 r.**





"ROK WAGŻEL DKA NIET"

HEROIZM... NIE JEST W SAMYCH BITWACH, ALE NA WSZYSTKICH POLACH ŻYCIA I NIEUSTANNIE...

LWÓW

1910 r. - 1911 r.

RZYM

1912 r. - 1919 r.





Fotografie z Muzeum w Niepokalanowie pochodzą z wikimedia commons

Zobacz też:

Pieśni Świętego Maksymiliana

Wileńskie miniatury

Romuald Mieczkowski (*Wilno*)



Wilno, Załek Miłosierny, fot. Romuald Mieczkowski

Fura książek

To był wstrząsający widok. W odrapanym podwórzu od ulicy Ułańskiej, dokąd dostarczyłem szafę, kiedy w czasie okupacji zarabkowałem na życie przewozami, z rozwalonej biblioteki

koszar właśnie wyrzucono setki książek. Poniewierały się one w błocie, wiatr przewracał strony, unosił strzępy wyrwanych kartek. Przenikający listopadowy chłód sprawił, że przechodniów było niewielu, od czasu do czasu stuknęły podkute buty Niemców. Podniosłem jedną książkę. Potem drugą, trzecią, czwartą... Wybierałem najładniejsze, solidnie oprawione tomy, przeglądałem krótko i składałem do wozu; po chwili ładowałem je jak leci, bez spoglądania nawet na tytuły. Znieruchomiałem parokrotnie, kiedy doleciała mnie obca mowa, ale nikt nie zwracał uwagi na wychudłego i marnie ubranego młodzieńca. Książki przykryłem brudną płachtą i ruszyłem w stronę rogatek miejskich.

O zmierzchu szczęśliwie dowlokłem się do domu. Zatrzymałem konia koło obory, dosypałem obroku i zadowolony z siebie odrzuciłem płachtę - nikt u nas nie widział tylu książek. Kiedy zobaczył je ojciec, w milczeniu wysłuchał moich wyjaśnień, potem bez słowa zawrócił konia i wysypał książki za szopą. Długo nie mógł rozniecić ogniska, a gdy wreszcie zapłonęło ono, długo też ogień nie mógł strawić wilgotnych tomów.

Ściemniło się. Ojciec dorzuczał wciąż chrustu i drwa, a potem pilnował, żeby wszystko dopaliło się do końca. Łzy kręciły mi się w oku, serce kołatało mocno. Pod kapotą miałem schowaną maleńką książeczkę. Jej tytuł odczytałem dopiero potem - był to „Latarnik” Henryka Sienkiewicza.

*

Fundament pod przyszły dom

Z przyjacielem mieliśmy zwyczaj zwiedzania zamkowych ruin, jakie można spotkać na naszej ziemi. Z każdej takiej wyprawy przywoziliśmy po starej cegle. Poniewierało się ich mnóstwo pod nogami. Dziesiątki takich cegieł, z kredą znaczoneymi zapisami, zgromadziło się w mojej piwnicy. Syn mi zaproponował:

- Tato, a może z tych cegieł zbudujemy sobie dom, historyczny i mocny...

*

Reanimacyjne paradoksy

Nocą nastąpił kryzys. Lekarz dyżurny gdzieś przepadł, siostra nie była w stanie pomóc, więc pacjent rozpaczliwie błagał o wywołanie do szpitala ...karetki pogotowia.

*

W poszukiwaniu pointy

Życie tak wartko płynie. W bezmiarze spraw miałych i alkoholu

zatracamy talenty, w rozmowach długich i jałowych ulatują bezpowrotnie chwile. Jak zachować je dla rzeczy ważnych?

O tym właśnie bezskutecznie przy szklaneczce rozmawialiśmy aż trzy godziny grubo po północy...

Zobacz też:

Staruszka z Zamkowej 42

Dziadek Władysław

Szkoła po sąsiedzku

Objazdowe kino

Upojny klimat czerwca



Włodzimierz Tetmajer, Noc Świętojańska, 1904 r., Muzeum Okręgowe w Lesznie, fot. wikimedia commons

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Czerwiec jest miesiącem, w którym obchodzi się urodziny

księdza Jana Twardowskiego. Urodził się 1 czerwca 1915 r. Jakże to wymowne, symboliczne; rocznica Jego urodzin przypada na Dzień Dziecka. Los Mu niejako wyznaczył wielką misję miłowania maluchów, opiekowania się zwłaszcza dziećmi specjalnej troski. Niestety, nie ma Go pośród żywych, ale mamy nadzieję, że po tamtej stronie będzie mógł obchodzić swoje imieniny Jana, w pejzażu uformowanym przez umiłowanego przez niego też Jana, ale ...Kochanowskiego. Autor *Pieśni świętojańskiej o Sobótce* tak właśnie witał przełom wiosny i lata symbolizowanym przez znak zodiaku wyznaczającym dni między 22 czerwca a 22 lipca:

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym Lesie.

Miesiąc czerwiec kusił także poetę żyjącego ponad trzysta lat później. Leopold Staff pisał o nim w wierszu *Wczesne lato* (tom: *Dziewięć Muz*):

Tak nagle przyszło pełne lato

I zawróciło wszystkim głowy.

I czar czerwcowy jak świat stary

Zdaje się niebywale nowy.

*

Śpiewem zanoszą się słowiki,

Bzu duszne wonie biją zewsząd

I dziko wpada wiatr spragniony

W ramiona rozchylonych dziewcząt.

Piszący te słowa, miłośnik poezji jednego i drugiego twórcy, jest w pewnym kłopotcie. Jak to jest z tym słowikiem. Czy „nie śpiewa”, czy „zanosi się” śpiewem? Czy – jak u Staffa – w końcu czerwca „bzu duszne wonie biją zewsząd”? Doświadczenie mówi, że bzy zwykle kwitną koło połowy maja, na imieniny Zofii. Jednak takie nasze „pragmatyczne” wątpliwości – w obliczu prawdy artystycznej – nie mają znaczenia. W świecie poezji wszystko ma prawo bycia i życia. Podziwiamy przecież Kazimierza Wierzyńskiego, który głosi światu pochwałę wiosny:

„Zielono mam w głowie i fiołki w niej kwitną [...]”

Poezja doskonale wprowadza nas w upojny i niemal narkotyczny klimat czerwca. Ja – myśląc o tym, co będzie – jestem wyjątkowo rozstrojony. Pamiętam minione lata. Jedne dni znaczone były ciepłem, słońcem i błękitem nieba, drugie falami dojmującego chłodu i wręcz apokaliptycznymi chmurami niosącymi ostre deszcze. Jedne mijały pod znakiem szarżyzny: przy umiarkowanej temperaturze powietrza, to pojawiał się nieśmiało jakiś promyk słońca, to znów odsłaniała się tam nad nami, na górze jakaś inna rzeczywistość. Bywało, że niebo darzyło nas słynnym, siąpiącym najczęściej na Podhalu „kapuśniakiem”.

Widocznie tak już musi być. Może jest to taka natura czerwca, który zamyka wiosnę, a inauguruje sezon letni... Jedno z przysłów ludowych podnosi zmienność pogody jako cechę przyrodzoną tego miesiąca: „Wiatry i ludzie czerwcowi do odmiany wciąż gotowi”; „Czerwiec na maju zwykle się wzoruje, jego pluch, pogody, często naśladuje”; „Gdy czerwiec chłodem i wodą szafuje, to zwykle rok cały popsuje”; „Pełnia czerwcową – burza gotowa”... Inne przysłowia niepogody tego czasu każą brać za dobrą monetę, gdyż: „Czerwiec mokry, zimny maj, gospodarzom pewny raj” lub „Grzmoty czerwca rozweselają rolnikom serca”. Jeszcze inne niosą nadzieję: „Czerwiec daje dni gorące, kosa brzęczy już na łące”; „Od czerwca dużo zależy, czy żniwa będą jak należy”; „Kiedy kwitnie w czerwcu bób, to

największy wtedy głód, a kiedy mak, to już nie tak”; „W czerwcu grusze kwiat zrzucają, czereśnie się zapalają”.

Czerwiec ma swoje przysłowia. ale ma także swoją poezję sławiącą urok jego długich dni i krótkich nocy wypełnionych po brzegi pulsującym życiem, kreowaniem nowych form istnienia i ich utrwalaniem się w świecie. Wspomniany wyżej Kazimierz Wierzyński w wierszu *Czerwiec*, pomieszczonym w tomiku *Korzec maku* (1951) powraca do swojego dawnego, w czas wojny zagubionego, witalizmu, którym przed dziesięcioleciem entuzjastycznie witał wiosnę Niepodległości. Píše:

Może nie szukać wróżby w zodiaku

Tylko tuż obok, na długość rąk:

Czerwiec jest wylęgarnią ptaków

I miodosytnią łąk.

*

Na koniczynie, na czwartym listku

Najwyraźniej wypisane to wszystko

I każda wesoła

Wie o tym pliszka, trawa i pszczoła.

Inny poeta – Mieczysław Jastrun – reprezentant innej już szkoły twórczej i w innym też czasie: *Dzieje nieostygłe* – 1935) w czterozwrotkowym wierszu *Od czerwca* nie mógł się także wyzwolić, bo i nie próbował, z narkotycznych uroków świata w fazie przechodzenia wiosny w lato:

Powraca znowu to widzenie

Zbóż opylonych:

Po kłosach ptak przeleciał cieniem,

Chwieje się mak czerwony,

[...]

W półkolu żółtych słoneczników,

Na alkoholach lata,

Nabijasz mnie na różę dziką.

Na palach i na kwiatach.

Czerwiec – jak powiedziałem – jestznaczony zmienną pogodą, urokiem przyrody, mądrymi przysłowiami i świeżością metafor poświęconych mu wierszy. Pośród przywołanego tu bogactwa nie można w żadnym przypadku zagubić tego, co w planie życia zbiorowego przynosiła nam historia, znacząc nasze tęsknoty i dążenia do godnego, opartego na pełnej podmiotowości bytu krwawym pasmem ofiar. Nie można zapomnieć poległych w latach pięćdziesiątych zarówno w wydarzeniach poznańskich, jak i węgierskich ludzi. Ich twarze na nas patrzą oczekując od nas mądrości, uporczywości i konsekwencji w procesie wypierania autokracji i totalitaryzmu. Nie można spać upojnym snem, cieszyć się euforycznie z dostatku i w miarę wygodnego życia wówczas, gdy na świecie szerzą się: gwałt, hipokryzja polityczna, egoizm, cynizm. Nie można zamknąć się psychicznie w wieży z kości słoniowej, kiedy lista naszych narodowych „grzechów głównych” jest większa od przysłowiowej „siódemki”.

Nie ma innego sposobu na zbiorowe życie, jak dialog, jak próba jednego człowieka zrozumienia drugiego. Wytrwale, cierpliwie, bezustannie. Całkiem humanitarne jest przywracanie pośmiertnej czci niesłusznie skazanym, ale prawdziwą cnotą człowieka, jego kategorycznym obowiązkiem, jego powinnością okazuje się robienie wszystkiego, by gwałt, brutalność, przemoc, pomówienie nie były metodami dowodzenia czyichś racji.

W tym, co piszę jest smutek, gorycz, ale i nadzieja. Może od przyrody nauczymy się czegoś. Właśnie zafascynowania życiem, jakie płynie w dynamicznym rytmie czerwcowych dni i nocy.

Na koniec muszę wrócić do księdza Jana Twardowskiego. W naszych kontaktach zwracałem się do Niego to „Księżu Rektorze”, to znów „Księżu Janie”. Ubawił się, gdy Mu powiedziałem, iż cieszę się, że „nie jest klechą”, lecz prawdziwym duchownym. Chyba najbardziej podobał Mu się zwrot „Księżu Janie... z Czarnolasu”.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Rozkwit poezji w maju

Kwiecień – bohater literacki

Wieczorne rozmowy z wnukami w trudnym czasie



Okładka książki Kazimierza Brauna

Nakładem Wydawnictwa 3DOM ukazała się w tym roku pozycja, która objaśnia młodemu pokoleniu tradycję i patriotyzm. Kazimierz Braun w publikacji zawarł osobiste rozmowy z wnukami, opowiada im o swoim życiu i życiu członków rodziny, kim byli i jakimi wartościami się kierowali. Autor tłumaczy, na czym polega lojalność, odwaga, miłość, rodzina i poświęcenie. To jest książka nie tylko dla dzieci, dorośli też przeczytają ją z dużym zainteresowaniem. Ważnym przesłaniem książki jest uświadomienie rodzicom, że z dziećmi, nawet tymi bardzo małymi, trzeba rozmawiać, opowiadać, kim byli przodkowie, tłumaczyć trudne sytuacje, bo przecież to dorośli kształtują nowe pokolenie. Zalew zbędnych informacji, którymi atakowany jest młody człowiek, nie da mu oparcia, poczucia własnej tożsamości i swoich korzeni. Rodzice, często zabiegani w pogoni za przyszłością, zmęczeni codziennymi troskami, nie znajdują czasu na długie rozmowy z dziećmi. Dziadkowie są na innym życiowym etapie, więc to oni mogą się zająć edukacją swoich wnuków. Kazimierz Braun jest dramaturgiem, reżyserem teatralnym, pisarzem, a także profesorem i wykładowcą akademickim. Wykładał m.in. na Uniwersytecie Wrocławskim, New York University, Uniwersytecie Kalifornijskim (w Santa Cruz) i przez wiele lat na University at Buffalo. Mimo wielu lat spędzonych na emigracji, ojczyzna i więzi rodzinne są dla niego bardzo ważne. *(Joanna Sokołowska-Gwizdka, red.).*

PROLOG

Miałem w moim, już długim życiu, Bożą Łaskę, niezmiernie szczęście i wielki przywilej opowiadania moim dzieciom i wnukom różnych historii, wspomnień, bajek. Wydobywałem je z własnej pamięci, a także z wyobraźni, z historii rodziny i kraju. Wypłacałem się w ten sposób za te dary jakimi ubogacali mnie kiedyś moi rodzice, Juliusz i Elżbieta z Szymanowskich, a także babcia Henryka Braunowa, która mieszkała latami w naszych domach rodzinnych. Dziadka Karola Brauna nie znałem. Zmarł przed moim narodzeniem. Natomiast dziadek Michał Szymanowski, w którego dworze, w Mokrsku Dolnym nad Nidą, urodziłem się, był najpierw dla małego wnuka dalekim, wyniosłym punktem odniesienia w porządkowaniu dziecinnego świata, ale później, gdy już ograbiony przez tzw. „reformę rolną” ze swego majątku zamieszkał w jednym sublokatorskim pokoju w Kielcach, zapraszał mnie często do siebie i wtedy obdarzał mnie opowiadaniem o życiu, jakie było przed wojną – przed okupacją niemiecką i przed okupacją sowiecką, jak nazywał zaprowadzone w Polsce komunistyczne rządy.

Gdy zeszedliśmy się z Zofią Reklewską, to okazało się, że pochodzimy z podobnych okolic. Ja urodziłem się w Kieleckiem, i całe dzieciństwo spędziłem w tamtych stronach, w leśnym domu w Milechowach, a ona, wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale

jako dziecko mieszkała w Sandomierskiem, w Mirogonowicach, we dworze swoich rodziców Wincentego i Anny Reklewskiej z Wasiutyńskich, przy czym jej ojciec prawie tuż po jej urodzeniu został zamordowany przez komunistycznych bandytów.

Gdy w naszym życiu małżeńskim otrzymaliśmy dar dzieci, to moje wieczorne opowiadania Monisi, Grzesiowi, Justysi stały się prawie-że niezbędnym rytuałem rytmu rodzinnego dnia, potrzebnym do tego stopnia, że gdy kroił się jakiś mój wyjazd z domu na dłużej (a to zdarzało się - teraz sądzę - zbyt często), to nagrywałem wieczorne opowiadanki na kasetę, a Zosia odtwarzała je wieczorami dzieciom.

Lata mijały, nasze dzieci rosły. Pojawiały się ich dzieci. Siadałem przy łóżeczku małej Ani, potem małej Asi, a potem małej Anielki - córek naszej córki Moniki. Potem takie dobre chwile dane mi było dzielić z córkami naszej córki Justyny - Zosią i Lilką. Z nimi - tak się to ułożyło w naszym życiu rodzinnym - byliśmy blisko, i jesteśmy - od samego ich urodzenia, i nadal, gdy już stają się panienkami. Nadal są okazje do wieczornych, i nie tylko wieczornych, opowiadań.

Jestem wszystkim tym dzieciom niezmiernie wdzięczny, że zechciały mnie obdarzać swoją uwagą, że jakoś przydawałem się im do podciągnięcia pod brodę kołderki, poprawienia poduszcзки, wygładzenia wyobraźni rozbrykanej w ciągu dnia,

przywołania w ich pobliże Anioła Stróża, ale także do wywołania z przeszłości tych, z którymi teraz nie mogą się spotkać, a którzy jednak czuwają nad ich snem.

Ta książeczka powstała z tęsknoty za takimi chwilami także przy łóżeczkach Alka i Helenki, dzieci mego syna Grzegorza i jego żony Aleksandry. Chciałbym, aby przydała się im dwojgu i ich dzieciom, a może i innym rodzicom, i innym dzieciom.

W czasie, w którym piszę te słowa – a jest to straszny i tajemniczy czas zarazy, jedni zowią go epidemią, inni pandemią, a jeszcze inni, po prostu, wojną – dorośli i starsi spędzają, nawet i przymusowo, więcej czasu w domu. Siadają wieczorami przy małych łóżeczkach. A dzieci właśnie w takim czasie bardzo potrzebują – nie rozumiejąc przecież, co się wokół nich dzieje – obecności, ciepła, uwagi i słowa dorosłych.

Mam nadzieję, że te wieczorne rozmowy z moimi wnukami, pozostając w kręgu historii jednej rodziny, zawierają w sobie ziarna, które można zasiać w ogrodach innych rodzin. Próbuję bowiem opowiadać nie tylko o ludziach i zdarzeniach, ale także, bardziej ogólnie, o wierności, odwadze, troskliwości, pracowitości, o bardzo prostym i oczywistym trwaniu przy wierze, wartościach i zasadach, o pielęgnowaniu tradycji. A także, te moje opowiadanki mogą się może przydać, jako swego rodzaju mapa drogowa, która posłuży moim dorosłym

czytelnikom w wyprawach szlakami ich własnej pamięci. (...)



Rzeźba dziadka z wnukiem, fot. Birkenhain z Pixabay
ROZMOWY Z ALKIEM

Dzielny pradziadek Juliusz

Tego wieczora, jak tylko usiadłem przy łóżeczku Alka,
powiedziałem od razu:

- Dzisiaj, Alku, opowiem ci o twoim pradziadku. Był ojcem twojego dziadka, to jest moim ojcem. Na imię miał Juliusz. Na drugie imię Henryk. Nazwisko nosił takie same jak ty, jak twój ojciec.

- Ja jestem Aleksander Braun. Aleksander Wincenty Braun - powiedział poważnie Alek. Ja wiem jak się nazywam. Ja to wiem bardzo dobrze.

- A on, twój pradziadek, nazywał się Juliusz Henryk Braun. Pod koniec życia był profesorem, uczył studentów, wiesz, o kimś takim mówi się „nauczyciel akademicki”. Ty masz nauczycielki w przedszkolu. Teraz twoją nauczycielką jest twoja mamusia, prawda? Bo przedszkole zamknięte, więc uczysz się w domu. Zanim został nauczycielem akademickim twój pradziadek był prawnikiem. Takie uzyskał wykształcenie, to znaczy, tego się nauczył, to robił.

- Kim, dziadku, był pradziadek? Prawnikiem?

- Tak, prawnikiem. To znaczy, że znał prawo i pomagał ludziom przestrzegać prawa. Prawo mówi o tym, co wolno, a czego nie wolno. Jak ktoś zrobi coś, czego nie wolno robić, to może być postawiony przed sądem.

- To on był sędzią? - zapytał Alek. - Bo ja wiem, że w sądzie jest

sędzia. I na boisku piłkarskim jest sędzia. Czy on był sędzią piłkarskim?

- On nie był sędzią. Był obrońcą. I nie na boisku, tylko w sądzie.

- Obrońcy to są na boisku - skonstatował autorytatywnie Alek. - Oni grają z tyłu, za nimi jest tylko bramkarz, a z przodu grają napastnicy. Lewandowski!

- W sądzie też są obrońcy - starałem się przekonać małego rozmówcę. - Widzisz, jak jakiś człowiek staje przed sądem, to sędzi go sędzia. Ale jest także jeden taki prawnik, mówi się o nim prokurator, który przedstawia sędziemu winy tego człowieka, oskarża go. A drugi prawnik, który nazywa się adwokat, broni go przed tymi oskarżeniami. Sędzia słucha co mówi oskarżony, co mówi prokurator, co mówi adwokat. A potem wydaje wyrok. Kiedyś będziemy musieli dłużej porozmawiać o sądzie, o sądach, o tym, co się nazywa „wymiarem sprawiedliwości.” Często, niestety, to jest raczej wymiar niesprawiedliwości. Ale teraz powiem ci tylko, że twój pradziadek był obrońcą, adwokatem. Bronił ludzi w sądach. Pomagał ludziom w ten sposób. Żył długo. Zrobił wiele dobrego. Wiele też wycierpiał.

Gdy to powiedziałem - natychmiast opadły mnie wspomnienia tych strasznych chwil - obrazów: aresztowanie ojca przez gestapowców; aresztowanie ojca przez ubeków; ogłoszenie

wyroku na ojca - właśnie: niesprawiedliwego wyroku - przez komunistyczny sąd wojskowy; widzenia z ojcem w więzieniu. I ten moment, jak cios: siedzimy nad rzeką Wierną po kąpieli w letnie popołudnie. Są rodzice, dzieci, i jest już z nami Zosia, moja młoda żona. Wszyscy jesteśmy w kostiumach kąpielowych. I ona nagle, tak po prostu, pyta ojca, z głębi swojej troski o niego i miłości do niego - nie pamiętam dokładnie jej słów - pyta o zauważone nagle blizny na jego plecach i piersiach. Pamiętam słowa ojca - krótkie, tylko informacyjne, jakby bezosobowe, jakby to nie było o nim: to z ubeckich przesłuchań na Mokotowie.

Nie pozwoliłem jednak swojej myśli kołatać się po tych ciemnych zaułkach. Z wysiłkiem zamknąłem wieko studni pamięci.

Powiedziałem tylko:

- Wiele mam ci, Alku, do opowiedzenia o twoim pradziadku. Jak Pan Bóg da to jeszcze znajdzie się na to czas. Dzisiaj opowiem ci jak był żołnierzem.

- Miał karabin? Ja mam pudełko ołowianych żołnierzyków - pochwalił się Alek.

- Miał karabin. Gdy służył jako wartownik. Gdy służył jako kierowca wojskowy to miał pistolet. Bo to było tak, Alku, że za jego życia były dwie wielkie wojny na świecie, w Polsce. I on, twój pradziadek, w czasie pierwszej z tych wojen był za młody,

aby pójść do regularnego wojska, ale chciał walczyć o Polskę, więc zgłosił się jako ochotnik – to znaczy sam tak chciał, choć nie musiał – do harcerskiej służby wartowniczej, bo był harcerzem. I tam dostał karabin. I był żołnierzem. A gdy wybuchła druga wojna, gdy Niemcy napadli na Polskę, to pradziadek był tym razem już za stary, aby otrzymać powołanie do wojska. Ale znów zgłosił się sam, jako ochotnik. Znów chciał walczyć o Polskę. Zgłosił się do wojska ze swoim samochodem. Ponieważ był to dobry samochód, mercedes, więc został oddany do użytku generałowi, dowódcy jednej z polskich armii. I w ten sposób twój pradziadek został kierowcą tego generała. Wtedy otrzymał pistolet.

Polska walczyła z Niemcami przez kilka tygodni. Armia tego generała wykazała się szczególnym bohaterstwem. Ale ostatecznie została otoczona ze wszystkich stron przez przeważające siły niemieckie. Generał, dowódca armii, postanowił się poddać i poddać resztki swych wojsk. To znaczy przestać walczyć, po to, aby uratować życie tych żołnierzy, którzy mu jeszcze pozostali. Wszyscy dostali się do niewoli – wszyscy żołnierze, generał, a także jego kierowca, twój pradziadek.

Niemcy urządzili dla nich wszystkich prowizoryczny obóz jeniecki na jakiejś wielkiej łące. Wyobraź to sobie: wielka łąka, a na niej stoi wiele polskich, wojskowych samochodów osobowych i

ciężarowych rozrzuconych chaotycznie, w tym mercedes twego pradziadka. Na łące kłębią się grupami i pojedynczo polscy oficerowie i żołnierze – bez broni. Bo są jeńcami. Łąka otoczona jest drutem kolczastym umocowanym do świeżo wbitych w ziemię drewnianych palików – tak jakby to było wielkie pastwisko. Tylko, że zamiast bydła są na nim ludzie. Poza drutami, na zewnątrz, rozsiane są gęsto niemieckie posterunki z ciężkimi karabinami maszynowymi wycelowanymi w łąkę, w tych ludzi. Na zewnątrz drutów przechadzają się niemieccy wartownicy. A za nimi, tworząc ogromny pierścień, stoją niemieckie czołgi z lufami także wycelowanymi na tych ludzi. Opowiadałem ci kiedyś, Alku, o czołgach rosyjskich, które podpełzały do naszego zimowego lasu pod koniec tej właśnie wojny. A to, co ci teraz opowiadam, wydarzyło się na jej początku, a czołgi były niemieckie. Sytuacja, zdawałoby się, bez wyjścia. Wszystkich jeńców czekała niewola.

Twój pradziadek był jednym z jeńców. Swój pistolet musiał oddać Niemcom. Ale od samego momentu uwięzienia myślał o ucieczce. O wydostaniu się na wolność. Nie godził się na niewolę. Był człowiekiem przedsiębiorczym, sprytnym i odważnym. Chodząc w ciągu dnia po otoczonej przez Niemców łące, zauważył jakąś większą przerwę między niemieckimi posterunkami i czołgami. Postanowił uciec – wyczołgać się w nocy z obozu jenieckiego. Był kiedyś harcerzem – w harcerstwie nauczył się czołgać.

Wiesz, co to jest czołganie się, prawda, Alku? Szorujesz brzuchem po trawie, po piasku, czy nawet kamieniach, podciągasz się ku przodowi tylko rękami i cały czas uważasz, żeby być jak najbliżej ziemi.

Więc pradziadek czekał w tym miejscu do nocy. Chciał się wyczołgać pod osłoną ciemności. Wszyscy jeńcy poukładali się po prostu na ziemi, żeby się jakoś przespać. Zapadła ciemność. Pradziadek czuwał i już miał rozpocząć swoją próbę ucieczki z obozu, gdy nagle zaryczały motory czołgów stojących dookoła obozu i zapaliły się ich reflektory oświetlając całą łąkę. Były jednak pomiędzy tymi reflektorami smugi cienia. Choć ucieczka w tych warunkach była naprawdę bardzo ryzykowna, pradziadek zaczął się czołgać – najpierw pod drutami kolczastymi, potem między niemieckimi wartownikami, potem między niemieckimi czołgami. Czołgał się bardzo długo. Wreszcie zostawił Niemców za sobą.

W jakichś krzakach zdjął kurtkę munduru i wepchnął ją pod liście. Zachował jednak portfel – wiesz, twój tatuś też ma taki portfel z dokumentami, z pieniędzmi. Pradziadek nie wyrzucił portfela, bo miał w nim dużo pieniędzy i swoje dokumenty, choć złapany przez Niemców, byłby natychmiast zidentyfikowany w oparciu o te dokumenty. Ale i pieniądze, i dokumenty, mogły mu być potrzebne w dalszej drodze ucieczki.

Więc twój pradziadek najpierw długo się czołgał, a potem szedł kilka kilometrów przez las, aż doszedł do jakiejś wsi. Był środek nocy. Zastukał do pierwszego z brzegu domu. Nikt nie chciał mu otworzyć. Szepcząc przez drzwi, przekonał jednak gospodarza, że jest polskim żołnierzem, który uciekł z niemieckiej niewoli i potrzebuje pomocy. Wreszcie drzwi się otwały. Pradziadek poprosił gospodarza, żeby mu sprzedał spodnie, buty i sweter. Przydały się zachowane pieniądze. Zapłacił hojnie. Przebrał się, zostawiając swoje spodnie wojskowe, które tamten mężczyzna natychmiast spalił w piecu kuchennym.

Pradziadek dopytał się jeszcze tego człowieka o najbliższy kościół parafialny. Poszedł we wskazaną mu stronę. Dotarł pod plebanię o świcie. Przedstawił się księdzu proboszczowi, który przyjął go z wielką troskliwością i serdecznością. Pradziadek zaproponował temu księdzu kupno swego samochodu, który wciąż stał przecież w obozie jeniecki, za drutami – jeśli uda się go wydostać. Ksiądz przyjął propozycję. Ustalili jak to zrobią. Już zaczęli walczyć z Niemcami metodami konspiracyjnymi. Ksiądz da pradiadkowi dokumenty, które powinny zmylić Niemców, a pradiadek pójdzie po swój samochód i wydostanie go z obozu jenieckiego. Ryzykowny plan.

Ksiądz dał więc pradiadkowi, napisany po niemiecku dokument, stwierdzający, że samochód, mercedes, numer rejestracyjny taki i taki, należy do niego, i że stał w miejscu, gdzie wojsko

niemieckie zorganizowało obóz jeniecki, bo akurat tam zabrakło benzyny. To akurat było prawdą – bak mercedesa był pusty. Więc ksiądz prosi w swym liście władze obozu, aby wydały samochód jego kierowcy, który nazywa się tak a tak (nie pamiętam jakie tam podano imię i nazwisko) i zaopatrzył pradziadka dodatkowo w sporządzony na prędcie akt chrztu tego niby – kierowcy, jako legitymację tożsamości.

Ksiądz dał mojemu ojcu, a twemu pradziadkowi, dwa konie ze swojej stajni, postronki i orczyki. Pobłogosławił pradziadka na drogę. Pradziadek zostawił księdzu swój portfel – teraz nie mógł go mieć przy sobie. Dał mu także adres swojej żony, z prośbą, aby ksiądz napisał do niej, na wypadek gdyby on sam nie wrócił z wielce ryzykownej wyprawy.

Pradziadek poszedł z końmi do obozu jenieckiego. Daleka droga. Przy bramie pokazał sporządzone przez księdza dokumenty dowódcy warty i wytłumaczył mu po niemiecku, dokładnie, ze szczegółami, tak, aby tamten zrozumiał swym, zapewne tępym umysłem, że przysłał go ksiądz proboszcz po swój samochód, który stoi tu od kilku dni, bo zabrakło benzyny, a potem wojsko niemieckie zorganizowało nagle w tym miejscu obóz jeniecki. Twój pradziadek mówił świetnie po niemiecku, bo urodził się i chodził do szkół pod zaborem Austriackim, a Austriacy mówią po niemiecku. O, i o tym, co to były zabory, też muszę ci, Alku, kiedyś opowiedzieć. Nie teraz. Teraz wracam do opowieści o

twoim pradziadku.

Dowódcę warty przekonuje jego opowieść i okazane dokumenty. Przywołuje wartownika i każe pradziadka wpuścić do obozu.

Pradziadek odszukuje samochód. Zaprzęga konie do przedniego zderzaka. Trzymając lejce w lewej ręce przez opuszczone okienko i prawą kontrolując kierownicę wyjeżdża na obozową drogę. Zbliża się to tej samej budki wartowniczej i tej samej bramy, którą wszedł. Stoi tam ten sam wartownik, który go wpuścił. Macha ręką i twój pradziadek wyjeżdża z obozu ciągnionym przez konie mercedesem! Udało się!

Pradziadek jedzie długo, polną drogą, ku kościołowi. Ksiądz otwiera mu stodołę. On wjeżdża tam, wciąż ciągniętym przez konie, samochodem. Drzwi stodoły zostają zamknięte.

Na plebanii ksiądz proboszcz wypłaca pradziadkowi umówioną sumę za samochód. Była znaczna - stanowiła podstawę życia rodziny przez pierwsze miesiące wojny. Ksiądz daje jeszcze pradziadkowi na dodatek dobre cywilne ubranie. Książeczka wojskowa wędruje do pieca kuchennego. Z plebanii ojciec wychodzi już jako cywil, doktor Juliusz Braun, adwokat. Ma przy sobie swoje stare, polskie dokumenty.

Z tymi dokumentami wrócił z wojny do domu. Nie tylko uciekł z

niewoli, ale i wy dostał swój samochód.

Twój pradziadek, Alku, to był wspaniały, dzielny, zaradny odważny człowiek.

Gdy, sam zemocjonowany, kończyłem opowiadać Alkowi o jego dzielnym pradziadku, zobaczyłem, że chłopiec już zasnął. To i dobrze. Po to snułem te opowieści.

Pomyślałem jednak, że może Alek zapamięta choć część tej historii. I kiedyś uświadomi sobie, że wzorem swego pradziadka, powinien szukać wyjścia z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji, nie poddawać się, a zwłaszcza nie godzić się na jakikolwiek rodzaj niewoli.

Zobacz też:

„Pamięć”. Wspomnienia Kazimierza Brauna.

Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Boże Narodzenie w Mirogonowicach

Komunizm na wesoło i inne miniatury

Wilek Markiewicz (1930-2014)



Wilek Markiewicz, Toronto, rys. ołówkiem, własność prywatna, obraz подарowany przez Wilka Markiewicza Joannie Sokołowskiej-Gwizdka

Komunizm na wesoło

1. Wszedłem do porządnej knajpy w Warszawie. Paru bywalców stało przy barze. Rozglądam się - gdzie tu obsługa? Ktoś mi odpowiada: - To już nie te czasy! - Więc gdzie mam zamawiać?

Kierują mnie do końca lokalu i tam się dołączyłem do

wyczekującej grupy. W końcu okienko w ścianie się otwiera i ukazuje się duża taca wypełniona kuflami piwa, jak wodą, bez pianki. Widocznie długo stało. Okienko się zamyka i między obecnymi rozpoczyna się walka o szklanki. Jakaś kobieta łapie mnie za przegub ręki, ale utrzymałem szklankę. Było to jedno z najlepszych piw jakie piłem, mimo tak nieapetycznego wyglądu. Postawiłem na tacę pustą szklankę i teraz nastąpiła dla mnie zagadka: komu zapłacić i ile? Ludzie wokół mnie zniknęli, nie miałem kogo zapytać. Stałem i czekałem, w końcu pozostawiłem garść monet na tacy, nie wiedząc, czy to za mało, czy za dużo i wyszedłem z nadzieją, że nikt za mną nie podąży.

2. Usiadłem przy stoliku w samoobsługowej kafeterii. Nie było papierowych serwetek, widocznie nie było na rynku, lecz sumienny menadżer poustawiał na stoliku plik sztywnych kartonów, pokrojonych mniej - więcej na miarę serwetek. Nie było czym czyścić rąk, najwyżej można się było nimi poskrobać.

3. Tego nie sprawdzałem lecz usłyszałem z miarodajnych źródeł: W jakiejś fabryce, otwarta przestrzeń była zastawiona wielkimi drewnianymi pakami. Nie było na nich napisu i zawartość musiała być ciężka, gdyż paki powoli wgłębiały się w miękkie grunt. Czas mijał i paki z anonimową zawartością wgłębiały się coraz bardziej, aż praktycznie znikły. W końcu buldożery wyrównały teren żwirem i może do dzisiaj stoją zagrzebane ze swoją tajemniczą zawartością.



Wilek Markiewicz, Madryt

Miłosierdzie

Małe dziewczynki szły w szeregu ulicą na peryferiach Paryża, jednako odziane, najwidoczniej z sierocińca, gdyż były za małe na szkołę. Chodziły dziarsko, jak na ich wiek, gwarząc sobie wesoło. Gdy orszak mnie minął, po chwili zdałem sobie sprawę, że jedna z „dziewczynek” była starą kobietą, karliczką, cofniętą umysłowo! Była najwidoczniej dobrze zintegrowana, ani ona ani dzieci nie zdawały sobie sprawy z różnicy. Pojęcie czasu dla niej

nie istniało. Pogratulowałem w duchu prowadzącym je zakonnicom za serce, inteligencję i subtelność z jaką potrafiły jej osłodzić ostatnie lata życia.

*

Ta historia pochodzi ze szkoły w Madrycie za czasów frankistowskich. Nauczyciel, jezuita (gdyż wtedy szkoły były prowadzone przez duchownych), zapytał dwóch uczniów – braci, jak to jest możliwe, że różnica wieku między nimi wynosi tylko pięć miesięcy. – Czy jest to pomyłka? – Nie, jeden z nas jest zaadoptowany (powiedzieli gwarowo: „przygarnięty”), tylko nie wiemy który! – Nauczyciel wysłał rodzicom listem gratulacje.

*

Na nocnej zmianie, siostra szpitalna o zdeformowanej twarzy, przy wejściu i wyjściu z sali obdarzyła końskim uśmiechem umierającą pacjentkę, która nie mogła tego zauważyć. To było pozdrowienie od bezdennej otchłani do bezdennej otchłani, to była miłość.

*

Dworzak w szpitalu

Gdy przyjechałem do Kanady, pracowałem przez pewien czas w torontońskim szpitalu jako pomocnik pielęgniarstwa (orderly). My, nowi „orderlies,” otrzymaliśmy małą broszurę powiadamiającą nas o naszych obowiązkach, która rozpoczynała się poetyckim zdaniem: „nie jesteś drzewem – bądź krzakiem”. Od początku więc wskazano nam nasze miejsce. Byliśmy przeważnie nowoprzybyłymi imigrantami przeróżnej narodowości. Pomocnicy pielęgniarstwa i sprzątacze dzielili szatnie w ciemnej, chłodnej suterynie. Jednego ranka, gdy się przebieraliśmy, ktoś zaśpiewał mocnym barytonem fragment „Nowego Świata” Dworzaka. Odśpiewałem, skompletowałem fragment i on zareagował: „rozumiemy się!” Jest powiedzenie francuskie: „na wyżynach, gdzie szybują duchy”. W tym wypadku duchy spotkały się „na nizinach”.



Wilek Markiewicz, Obrazek paryski

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 - 85. Wydawca i redaktor „Kurieria Polsko-Kanadyjskiego 1972-86. Współpracownik „Canadian Political News & Life” 1988-89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano - Americano” (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Jako artysta malarz prezentował swoje prace na

wystawach zbiorowych i indywidualnych m in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech. Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak. Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat.

Zobacz też:

Filozof bytu

*

Komunizm na wesoło - dowcipy Ronalda Reagana: